

KAMENIA

DWUTYGODNIK LITERACKI

W NUMERZE: *Bialski notatnik kulturalny* • *Nasz marsz* • *Apostolowie* • *Trzy lata w służbie regionu* • *Majowa niedziela jesieni* • *Nowe spotkanie z operetką* • *Nieznani twórcy* • *Machulski i Guignol* • *W sprawie ortografii* • *I in.*

**NIECH ŻYJE
ŚWIĘTO PRACY
1 Maja!**

„Dom Książki”

**DOMEM
CZYTELNIKA**

WITOLD WRÓBLEWSKI



22 KWIETNIA 90 LAT TEMU URODZIŁ SIĘ
WŁODZIMIERZ LENIN

Rysował w 1920 r. w Moskwie na Kremlu Natan Altman.
Reprodukuje się z albumu Altmana po raz pierwszy w Polsce.

Skutki tej improwizacji dały rychło znać o sobie. Względny ekonomiczny już w roku następnym wyznaczają nowy zygzak polityki organizacyjnej naszego księgarstwa: dziesięć takich drobnych, wiejskich księgarenek przekazano Gminnym Spółdzielniom, czyli po prostu skazano na powolną zagładę.

Ta sama tendencja, honorowana i w następnych latach, przyniosła w rezultacie likwidację (przeważnie drogą komasacji) dalszych 8 księgarń, tak że na koniec roku 1953 istniało ich na Lubelszczyźnie już tylko 35. Wówczas to zniknęły księgarnie w takich „głuchych zakątkach”, jak Izbica, Urzędów, Stoczek, Piaski i Zółkiewka. To było „dno” regresu organizacyjnego.

Za cenę jednak strat poniesionych przez księgarstwo lubelskie w swym zasięgu terenowym uzyskano określenie organizacyjne instytucji i zdrowe podstawy gospodarki pieniężnej. Ogólne obroty książką w wyniku tych pociągnięć bynajmniej nie zmalały — przeciwnie, dalszy ich wzrost był zagwarantowany przez udoskonalenie i ujednoczenie metod pracy księgarskiej oraz przez stabilizację i szkolenie zawodowe kadr. Nie da się jednak zaprzeczyć, że działanie takie było w istocie swego rodzaju cofaniem się z książką z rozległego frontu walki o kulturę na

najdogodniejsze, wypróbowane pozycje, gwarantujące pomyślne wywiązywanie się z zadań handlowych.

Dopiero drugie pięćlecie działalności „Domu Książki”, charakteryzujące się dalszym doskonaleniem metod pracy i konsekwentnym szkoleniem nowych kadr księgarskich, przynosiło nawrót do tendencji (ostrożnej tym razem) ekspansji na utracone tereny. Powstają coraz to nowe księgarnie w samym Lublinie i następuje ich specjalizacja w odrębnych działach naukowych, będąca wyrazem chęci jak najskuteczniejszego dotarcia do klienta trudnego: fachowca. Księgarnie te zaczynają pracować jako wysyłkowe dla terenu całego województwa. W księgarstwie naszym zaczynają się przyjmować i rozwijać nowe, nieznanne w ustroju kapitalistycznym, formy upowszechnienia książki, jak: sprzedaż kolporterska, loteria książkowa i kapitalnie spopularyzowane już w naszym społeczeństwie przez tradycję „Dni Oświaty, Książki i Prasy” — wielkie kiermasze książkowe.

Gdy zaś po „październiku” decentralizacja obejmuje i p'ón księgarstwa, usamodzielnione przedsiębiorstwo lubelskie „Domu Książki” podejmuje świadomie ponowną decyzję rozszerzenia frontu dotarcia z książką do od-

RYSZARD DUNIN

Pierwszomajowe święto

Niebu zbłękitniały nagle oczy,
Tysiące barwnych kwiatów
Wtargnęło do kalendarza.

Uczepiony gołębi skrzydeł
Snuje się pod parasolem nieba
Mojej Ojczyzny.

Dojrzewający pąk szesnastolecia
Zdumiewa urodą, zaskakuje, wzrusza.

Rzeka ludzkich uczuć kolorowym
wylewem
Niesie odświętnymi ulicami miast
Ciepłe, zielone jak maj słowo —
nadzieja.

W oczach roześmianych dziewcząt
Odbijają się jak w kryształach luster
Rozwinięte sztandary pochodów.

Wieczorem pójdziemy na bal pod
gwiazdami,
Żonę swojej kupię zielony balonik
Z majowych liści i powieszę go pod
niebem
Zeszytym nitkami fajerkworków.

1960.

biocy. Realizacja takiej decyzji zostaje zapewniona dzięki dobremu wynikom ekonomicznym przedsiębiorstwa, a więc coraz lepszej pracy całego kolektywu księgarskiego Lubelszczyzny. Zostają „wskrzeszone” księgarnie w Zaklikowie i Kocku, buduje się nowoczesne pawilony księgarskie w Annapolu, Bychawie i Adamowie, Książka, zawierzona tym razem fachowym „uż ręką”, w oparciu o silną, wypróbowaną strukturę przedsiębiorstwa, ponownie wkracza na głuchą wieś. Tym razem na stałe.

Tym przemianom organizacyjnym towarzyszy na przestrzeni całego minionego okresu proces mniej dostrzegalny, lecz bez porównania ważniejszy, gdyż warunkujący możliwość takiego właśnie rozwoju. Jest to proces wychowywania nowych kadr księgarskich, stanowiący jeden z podstawowych punktów programu działalności reaktywowanego po „październiku” Stowarzyszenia Księgarzy Polskich. Osiągniętych na tym polu wyników nie da się bodaj wcale określić cyframi. Nie powie bowiem o nich ani imponująca liczba młodych adeptów zawodu księgarskiego, którzy na studiach zaoczynych zdobyli pełne przygotowanie fachowe, ani też aktualna liczba uczestników takiego szkolenia.

O obrzymim postępie, jaki w tej dziedzinie osiągnęło księgarstwo Lubelszczyzny, mówi wzrastający w społeczeństwie autorytet księgarza, mówi coraz bardziej serdeczna więź, jaka powstała między księgarniami „Domu Książki” a ich stałymi klientami. Ci właśnie, miłośnicy i znawcy książek, najlepiej określają osiągnięcia lubelskich księgarzy, gdy stwierdzają, że „ich” księgarnie stały się już naprawdę „domami książki”, czyli miejscami, gdzie i książka, i jej amator, użytkownik, a nawet autor — czują się naprawdę jak w domu.

BIALSKI NOTATNIK KULTURALNY

Zamieszczając „Bialski notatnik kulturalny” zaczynamy publikowanie prac nadesłanych na konkurs „Życie kulturalne naszego środowiska”. Jak czytelnicy „Kamenu” pamiętają, termin nadsyłania prac minął w zasadzie 10.IV. Otrzymałszy już pewną ilość ciekawych materiałów, ponieważ jednak pragniemy otrzymać ich jeszcze więcej, przedłużamy termin konkursu do dnia 20.V. br.

Przypominamy, że pisać można zarówno o pozytywnych przejawach życia kulturalnego, jak o jego brakach; przykłady bardzo interesujących wypowiedzi właśnie na temat braków zamieścimy w następnym numerze „Kamenu”.

Uczestników konkursu oczekują nagrody:

- I — 1000 zł
- II — 700 zł
- III — 500 zł

oraz 4 wyróżnienia po 200 zł.

Nagrody przyznawane będą przede wszystkim za wartość dokumentalną prac, podane w nich konkretne fakty, bystrość spojrzenia.

A więc czekamy na dalsze korespondencje — o życiu kulturalnym, które jest — lub którego nie ma.

Adres: Redakcja „Kamenu”, Lublin, ul. Graniczna 1c.

Je obecnie komedio-farsę Juliana Tuwima pt. „Porwanie Sabinek”. W projekcie są „Krakowiaci i Górale”.

Upodobanie do flirtu z Melpomeną stanowi szczególną cechę ruchu amatorskiego wsi powiatu Biała Podlaska. W powiecie tym istnieje w chwili obecnej około 30 amatorskich zespołów teatralnych. Swą działalność przejawiają one zwykle pod patronatem ZMW, Kółka Rolniczego, Ochotniczej Straży Pożarnej czy Komitetu Rodzicielskiego szkoły.

Młodzież wiejska po zakończeniu jeśnienych prac polowych zbiera się w świetlicy lub w prywatnym mieszkaniu i pod kierunkiem miejscowego nauczyciela, a najczęściej samorodnego działacza kulturalnego, przygotowuje sztukę teatralną, zwaną tutaj na Podlasiu „sztuczka” lub „komedyjką”. Starym zwyczajem większość karnawałowych zabaw poprzedzana jest właśnie taką „komedyjką”.

Brak odpowiedniego repertuaru, odpowiadającego możliwościom aktorów-amatorów — a więc: tematyka wiejska, niewielka obsada sztuki, nieskomplikowana dekoracja — wpływa ujemnie i hamująco na pracę zespołów. „Pieją koguty” — Batuszisa czy „Diabeł na Podhalu” cieszyły się kiedyś dużym powodzeniem i wzięciem.

We wsiach powiatu bialskiego istnieje również zespoły chóralne i taneczne. Do takich wsi należą: Janów Podlaski i Zabłocie. W tym roku przy OSP w Rossoszy i Tucznej zorganizowano nawet amatorskie orkiestry dęte. W propagowaniu piękna muzyki wśród mieszkańców Białej niemałą rolę odgrywa Państwowe Ognisko Muzyczne, które w roku ubiegłym obchodziło X-lecie swej pracy kulturalnej.

Półroczne i roczne konkursy i konkursy są swoistego rodzaju wydarzeniem kulturalnym Białej Podlaskiej. Cieszą się one zawsze bardzo dużą frekwencją. W roku bieżącym uczniowie Państwowego Ogniska Muzycznego przygotowują „Wieczór Szopenowski”.

WUBENSKIE WĘDRÓWKI W CZASIE

ZAPOMNIANY LUBLINIANIN*

JOLANTA KOWALCZYKÓWNA

„Był to jednym słowem mąż pracowitego żywota, w tym szczęśliwy, że pracy jego zostały widoczne ślady i wyraźny pożytek. Można o nim powiedzieć, że jedną ręką piisał rozprawy z dzieł uniwersytetu, biblioteki i związanej z nią bibliografii, a drugą porządkował, gatunkował i zbierał skarby naukowe, prowadząc nieprzerwanym ciągiem to historię, którą szczerobliwemu Jagiellonowi zaczęła”. Słowa Lucjana Siemienińskiego trafnie określają pracowity żywot Józefa Muczkwskiego, filologa, bibliotekarza i profesora bibliografii w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Nazwisko Muczkwskiego znane jest dzieł jedynie bardzo wąskiemu kręgowi specjalistów i nie nie mówi przeciętnemu czytelnikowi. Zasłużony badacz kultury polskiej nie doczekał się do tej pory żadnej poważniejszej pracy naukowej. Zapomnienie czy tylko przeoczenie?

Józef Muczkwski, jeden z znakomitszych znawców historii literatury i języka ojczystego, urodził się 17 marca 1795 r. w Maszkach, na terenie województwa lubelskiego (dawniej pow. lubelski, obecnie — bełżycki). W 1803 r. wraz ze starszym bratem zaczął uczyć się do lubelskiej tzw. szkoły normalnej, którą ukończył w ciągu trzech lat. W 1812 r. kończy następnie lubelską szkołę departamentową, po czym wyjeżdża na Uniwersytet Jagielloński. Do studiów na razie jednak nie doszło, ponieważ urzęcony gwiazdą Napoleona wstępuje w szeregi gwardii ułanów polskich i bierze czynny udział w kampaniach 1813 i 1814 r. zarówno w Niemczech, jak i we Francji. W połowie marca 1815 r. powraca do Krakowa i kontynuuje studia stając się słuchaczem wydziału filozoficznego, po którego ukończeniu otrzymuje posadę adiunkta Biblioteki Jagiellońskiej. Od tej pory zaczyna się mozolny a niestrudzony żywot przyszłego autora „Grammatyki języka polskiego”.

W 1819 r. powołany do Poznania na stanowisko nauczyciela gimnazjalnego wykłada tam język polski, łaciński i grecki. W kilka lat potem powraca do Krakowa, gdzie w 1821 r. staje się zastępcą, a w rok potem profesorem rzeczywistym liceum św. Anny. Wykłada tam łacinę i grekę. Kariera Muczkwskiego rozwija się w szybkim tempie. W 1824 r. na wniosek komisarza rządowego przy instytucjach naukowych, Karola Hübnera, zostaje mianowany kustozem b-ki uni-

* Fragmenty rozprawy pt. „Geniusz pracy”.

KULTURALNY

W niewielkiej jednopiętrowej kamienicy, kryjącej się skromnie w czworoboku budynków otaczających Plac Wolności znalazł swe pomieszczenia Dom Kultury Dzieci i Młodzieży. W zajęciach świetlicowych i w pracach zespołów bierze udział 400 osób, tj. tyle, ile pomieścić mogą w ramach tygodniowego planu godzin nieduże sale. Oprócz zespołów tanecznych i teatralnych, które występowały już przed miejscową publicznością, ożywioną działalność prowadzi kółka problemowe, m. in. fotograficzne, filatelistyczne, plastyczne, biologiczne. Amatorski zespół teatralny przygotowuje wystawienie w najbliższym czasie „Baladyny” J. Słowackiego.

Dzięki społecznej inicjatywie życie kulturalne Białej Podlaskiej zaczyna w ostatnim okresie nabierać pełniejszych rumieńców. Koło Białezan reaktywowało swą działalność. Przystąpiono do prac związanych z opracowaniem i wydaniem monografii miasta i powiatu. Projektuje się wydanie pamiętnika Romana Rogińskiego, dziełnego przywódcy powstania 1863 na Podlasiu. Rozpoczęto gromadzenie eksponatów do przyszłego muzeum regionalnego Ziemi Białskiej, które po dokonaniu niezbędnych prac konserwatorskich mieścić się będzie w zabytkowej wieży wartowniczej, z której w niedługim czasie wyprowadzi się zakład mleczarski.

Przy PDK zorganizowano związkowy Klub „Podlasian”. W klubie tym odbyło się w roku bieżącym kilka ciekawych imprez, m. in. „Wieczór Czechowa” i spotkanie z red. Stanisławem Strumph-Wojtkiewiczem. Zacieśniają się kontakty kulturalne z byłymi mieszkańcami Białej, którzy przed laty opuścili to miasto. W grudniu ub. roku w sali „pod Wieżą” urządzona została wystawa malarstwa, grafiki i plakatu Ludwika Maciąga, artyści

wersyteckiej. W tym czasie uzyskuje stopień dra filozofii i pisze inauguracyjną rozprawę: „Pauli Paulirini olim Paulus de Praga vocitatis, viginti artium manuscriptum librum... descriptis Crac. 1835”.

W 1835 r. zostaje profesorem bibliotekarstwa i bibliografii oraz członkiem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

W ciągu 63-letniego życia (zmarł w r. 1858) Józef Muczkwski nieustannie składał dowody gorącego umiłowania swej pracy, głębokiego, rzetelnego zainteresowania dla wszystkiego, co się z nią łączyło. Obok zajęć zawodowych absorbował go zagadnienia z zakresu historii i literatury polskiej. One to przychyliły się do odbycia w 1823 r. podróży do Danii i Szwecji w celu obejrzenia zbiorów bibliotek Kopenhagi, Sztokholmu i Uppsali. Pragnieniem jego było, by mógł przed śmiercią nie tylko doprowadzić Bibliotekę Jagiellońską do absolutnego porządku, ale i postawić ją na poziomie równym najstawniejszym bibliotekom, w czym dopomagały mu rozległe stosunki z naukowcami polskimi i zagranicznymi.

Muczkwski zdobywając uprzejmy, niemal o własnych siłach i w ciężkiej sytuacji (ze względu na wczesne sieroctwo) wykształcenie, wszystkie swój czas poświęcił na usługi nauki. Trud jego wielkiej pracy służy nam do dziś, ale mimo niewątpliwie ogromnych zasług, jakie położył dla nauki polskiej, nie upomniał się o niego nikt: ani językoznawcy, ani historycy, ani bibliotekarze. Co na to lublinianie? Muczkwski żył swe wzięty wprawdzie w Poznaniu, a przede wszystkim z Krakowem, ale wydała go ziemia lubelska; tu wzrastał, stąd czerpał pierwsze nauki, tu kształtował zainteresowania, którym pozostał wierny do końca.

Bibliografia ważniejszych dzieł J. Muczkwskiego

- 1) Powieści Starego i Nowego Testamentu dla użytku szkół miejskich i wiejskich... Poznań 1820; 2) Grammatyka języka polskiego. Poznań 1825; 3) Zbiór najcenniejszych i najrzadszych rymotwórców w. XVI i XVII (tytuł I tom. Poznań 1827); 4) Pierwsze zasady języka łacińskiego. Kraków 1832; 5) Pauli Paulirini olim Paulus de Praga vocitatis, viginti artium manuscriptum librum... descriptis. Crac. 1835; 6) Rękopisma Marcina Radymyńskiego. Kraków 1840; 7) Mieszkania i postępowanie uczniów krakowskich w wiekach dawniejszych. Kraków 1842; 8) Dwie kaplice Jagiellońskie w Katedrze Krakowskiej. Kraków 1859.

Bibliografia ważniejszych prac o J. Muczkwskim

- 1) Karol Estreicher — „Album zasłużonych Polaków i Polek w XIX w.” t. II; 2) Wanda Kończyńska — „Biblioteka Jagiellońska. Przewodnik dla zwiedzających”. W-wa br.; 3) Lucjan Siemieniński — „Portrety literackie”. W-wa 1881; 4) Kazimierz Wójcicki: „Tygodnik Ilustrowany” 1861 Nr 109.

Ważniejsze wzmianki o J. Muczkwskim

- 1) „Biblioteka Warszawska” II 1843, s. 322; 2) Encyklopedia Powszechna. W-wa 1865. T. 19, s. 18-19; 3) Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana. Seria I. T. XLVII—XLVIII. W-wa 1912, s. 595—596; 4) Encyklopedia Powszechna Ultima Thule. W-wa 1933. T. VII, s. 469.

i adiunkta warszawskiej ASP. W marcu br. (31.III.) odbył się spotkanie z białczaninem Romanem Kłosowskim, aktorem teatru i filmu.

Przy kinie „Związkowiec” w dzielnicy Wola istnieje dyskusyjny klub filmowy. Projekcje interesujących filmów odbywają się w każdy czwartek. W marcu br. członkowie klubu dyskusyjnego gościli u siebie p. Al. Achmatowicza, przedstawiciela Polskiego Klubu Krytyków Filmowych z Warszawy.

Rozwija swą działalność miejscowy oddział PTTK. Działą Koło Miłośników Astronomii...

Obraz życia kulturalnego Białej byłby niepełny, gdyby pominąć milczeniem częste występy gościnne Państwowego Teatru Osterwy z Lublina. Przedstawienie „Cyda” Corneille’a — Wypiańskiego było dużym przeżyciem artystycznym dla licznej rzeszy wziętych miłośników teatru.

Notatnik mój zbyt jednostronnie przedstawia życie kulturalne miasta i powiatu Biała Podlaska, czyniąc niejednokrotnie wrażenie jakiegoś sprawozdania do jednostki nadrzędnej. Mówi tylko o blaskach nie wspominając o cieniach. Uczyniłem to celowo, bo pragnę gorąco i szczerze, aby blask zapanował wszędzie tam, gdzie straszą jeszcze cienie: marazmu, nudy i chuligaństwa.

Jerzy Sroka

„Teren” pracuje

W BUSÓWNI POWIATU CHELMSKIEGO pracuje bardzo ambitny zespół teatralny, prowadzony przez dwie społeczniczki: Z. Dudkowską — (kier. Szkoły w Busównie) i M. Lichotę (kier. biblioteki gromadzkiej w Wierzbicy). Zespół ten, mający na swym koncie między innymi takie pozycje, jak „Słuby panienskie” Fredry, „Szczęście Franja” Perzyskiego, „Nie igra się z miłością” Musęta, skupia najbardziej wartościową młodzież ze wsi wywierając na nią duży wpływ wychowawczy. Należy zaznaczyć, że praca ta jest prowadzona w szkole.

SZCZĘŚLIWA WIOSKA. Rzadko gdzie trafi się w jednej wsi aż trzech uzdolnionych nauczycieli, których pasją jest praca ze środowiskiem. Takie szczęście ma Stajno (powiat chełmski). Właśnie tu dzięki pracy Józefa Matell, Eugenii Laszkiewicz i Stanisławy Nawrockiej powstały zespoły: teatralny, chóralny i taneczny. Obecnie tworzy się — muzyczny. Zespół w miarę możliwości stara się być samowystarczalny. Jego członkowie sami szyją stroje i buty. Widząc dużą ofiarność pracy, Powiatowy Wydział Kultury w Chełmie ma zamiar wyposażyć zespół taneczny w Stajnem w ludowe stroje chełmskie.

BEZEK. Mówiąc o ciekawszych miejscowościach w powiecie chełmskim, nie można pominąć Bezku. Środowisko jest tu bardzo trudne, ale małżonkowie Kazimiera i Tadeusz Kuźmowie nie rezygnują ze społecznej pracy wychowawczej. Pomagają im w tym dwie młode nauczycielki prowadzące zajęcia pozalekcyjne z dziećmi. Oprócz zespołu teatralnego i tanecznego żywą działalność rozwija tu uniwersytet powszechny.

W CHELMIE natomiast już od paru miesięcy ćwiczy w Powiatowym Domu Kultury orkiestra symfoniczna, złożona z dwudziestu sześciu osób. Zespół ten skupił wszystkich wybitniejszych muzyków chełmskich. Prowadzi go energiczny, zapalony do pracy dyrygent, Eugeniusz Czarnota. Pierwszy program obejmuje repertuar popularny, między innymi: Uwerturę do „Orfeusza w piekle” Offenbacha, Mazurę ze „Strasznych dworów” Moniuszki, „Włazankę melodii ludowych” i in. Stworzenie w Chełmie tak poważnego zespołu orkiestralnego należy uznać za bardzo poważne osiągnięcie.

BYCHAWA jak wiadomo, jest jednym z najmłodszych i najmniejszych w województwie miast powiatowych. Brak odpowiednich tradycji i trudności komunikacyjne nie sprzyjają rozwojowi amatorskiego ruchu artystycznego w powiecie. Ostatnio pomyślano w Bychawie o zorganizowaniu dla terenu wydawniczej pomocy. Na zebraniu przedstawicieli władz i działaczy z terenu wypowiedziano się za zorganizowaniem w Bychawie ośrodka poradniczego. Najpierw będzie to może tylko poradnictwo repertuarowe, prowadzone przy bibliotece pedagogicznej. Podobnych porad będą również udzielać swoim kolegom najbardziej doświadczeni kierownicy zespołów w terenie.

J. Z.

W DABIU KOŁO MODLIBORZYC znajduje się najczynniejsza w powiecie janowskim świetlica wiejska. Prowadzi ją ob. Pietras, kierownik miejscowej szkoły podstawowej i znany w okolicy działacz społeczny. Urodził się on i wychował w Dabiu. Po zdobyciu zawodu nauczycielskiego wrócił do rodzinnej wioski i od 1918 roku uczy tutaj i wychowuje dzieci. Większość mieszkańców Dabia to jego wychowankowie. Wiesz jest bardzo uspołeczniona, a tradycjach pracy kulturalno-oświatowej i politycznej. „Nasz pan” był i jest duszą wszystkich poczyną społecznych i gospodarczych we wsi. Prowadzą przez niego świetlica istotnie spełnia rolę placówki oświatowo-kulturalnej na wsi. Mieści się w domu ludowym (przedwojennym czynie społecznym), urządzona jest skromnie, ale ze smakiem. Czysto tutaj i przyjemnie. Codziennie wieczorem przychodzi młodzież i starsi na czytanie prasy i czasopism, pogawędki, słuchanie radia itd. Zawieszona „wartości” znajduje się jakaś sztuka (obecnie „Grzegorz Dynała”). Przedstawienia amatorskie cieszą się ogromnym powodzeniem w Dabiu i okolicy.

Przykład nauczyciela z Dabia może być wymownym przykładem do toczącej się obecnie dyskusji na temat udziału nauczycielstwa w życiu społecznym środowiska.

A. B.

WŁODZIMIERZ
MAJAKOWSKI

Nasz marsz

Przełożył

KAZIMIERZ ANDRZEJ
JAWORSKI

Bijcie o płace buntu stopa!
Wyżej, twardych tarcie głów!
My rozlewem drugiego potopu
przemijemy tę ziemię znów.

Do swych met
wlecze się wóz dni.
Nasz bóg — pęd.
Serce jak beben grzmi.

Jak nasze złoto nie tak nie lśni.
Kule nie skłują nas żądlem os.
Naszym orężem — nasze pieśni,
naszym złotem dzwoniący głos.

Zielenią ściela się maj.
Mość naszym dniom dno.
Tęczo, obręcz swą daj
koniom, co w beżmiar mkną.

Patrzcie, z nudą gwiazd rój spogląda!
Bez nich pieśni splatamy wian.
Hej, Niedźwiedzico Wielka, żadał,
żywem niech wezmą nas do nieba
bram.

Radość opiewaj! Pij!
W żyłach wiosenny sok.
Serce, do boju grzmij!
Pierś nasza — litaurów grzmot.

TRZYDZIEŚCI LAT TEMU ZMARŁ MAJAKOWSKI



PORTRET MAJAKOWSKIEGO

Rysunek znanego poety-futurysty Dawida Burluka
Ze zbioru wierszy i rysunków „Triebnik troich”. Moskwa 1913.
Własność Marii Bechczyc-Rudnickiej (Wrocław) i Edwarda
Wrocławskiego

— A wy co — przerwał ksiądz —
z jakąś propagandą chodźcie?

— Zgadł ksiądz. Po linii kulturalno-oświatowej.

— Z urzędu jakiego? Młodzi jesteście obaj. Za młodzi, żeby innych uczyć. Szkół pewnie nie skończyliście.

— Uczymy się jeszcze, proszę księdza.

— A w jakim zakładzie?

— Szkoła nie szkoła. Uniwersytet Ludowy.

— Nie słyszałem. Cóż to takiego? Chyba nie wyższa uczelnia.

— E, nie. Kursy ośmiu-dziewięciomiesięczne. Bardzo ciekawie pomyślany zakład. Żyć się można na całe życie, a i nauczyć niemało. Metoda, wie ksiądz, inna niż w normalnych szkołach. Wyzwała się umiętności, zdolności, zainteresowania. Okazuje się, że człowiek sam nie wie, co w nim tkwi.

— I cóż — zapytał ksiądz z przekąsem — wykryto w was wielkie talenty?

— Coś niecoś wykryli. Resztę to już my sami.

— To w tej szkole ugruntowali w was zapewne niewiarę w Boga?

— Nie, dlaczego? Kto chce, to wierzy, nawet do kościoła chodzi. Myślimy już tacy przyszli do Uniwersytetu Ludowego.

— Hm. A nigdy nie myślecie o przyszłości, no, powiedzmy o śmierci?

— Dlaczego? Czasami myślimy, ale tak mimochodem, jak spotykamy jakiś karawan lub pogrzeb. Ksiądz chce z nami o tych sprawach mówić. Może lepiej o czym innym. Dla księdza pewnie rozmowa taka jest przykra. Rozumiemy, że ksiądz jedzie „służbowo”.

Kapłan poprawił biret. Spod futrzanej rękawicy wychyliła się druga skórkowa rękawiczka. Chłopcy spojrzeli ze zdziwieniem.

— Tak ciepło — wyjaśnił kapłan.

— Często wyjeżdżam do chorych, muszę dbać o zdrowie. Ludzie łakną pociechy religijnej. A kapłanów, dobrych kapłanów nie mamy za wiele.

— W każdym zawodzie są różni ludzie — przytaknął Mateusz.

Ksiądz pominął milczeniem tę uwagę.

— Ciężka jest praca kapłana katolickiego — podjął po chwili. — Zdarzało się nieraz nie tylko ze słowem bożym do ludzi iść, ale i ze zwykłą przysługą ludzką. Nauczyłem się w swojej służbie i chorych opatrywać, bańki stawiać, bodajże i kilka razy musiałem uczyć podstawowych zasad higieny.

— Wierzę — pokiwał ze zrozumieniem głową Mateusz, mierząc znalezionym na wozie patykiem głębokość zanurzenia.

Woznica starał się nie uronić żadnego słowa, ministrant zacierał czerwone, spierzchnięte ręce, zerkając na proboszcza.

— Dzwon, dzwon — poganiał proboszcz. — Później się zagrzejesz. Zdarzyło mi się raz — kapłan sięgnął znowu po brewiarz — zajechać do domu, w którym umierał niewierzący syn. Nie miał więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat — ksiądz prześliznął się nieważnym wzrokiem po twarzach obu podróżnych. — Rodzice mnie sprowadzili, zaklinali na wszystko, chociaż, prawdę mówiąc, nie miałem ochoty jechać.

Woznica obejrzał się i nie pytany wtrącił swoje trzy grosze:

— Sowa wtedy wioził dobrodzieja. Pamiętam, a jakże. Gadańca z tego było w całej parafii. Miała nawet być sprawa, ale jakoś ucichło.

— Właśnie, właśnie — ksiądz nie rad tej informacji, usiłował szybko zagadać. — Włęcz wchodzę ja do pokoju, porządnie mieli mieszkanie, czyste, ładnie umeblowane, i obrazów świętych nie brakowało, a jednak chłopak był niedowiaręk. W mieście go widać zepsuli. Włęcz wchodzę do izby i wprost do chorego, a tamten wyciąga obie ręce, o tak — ksiądz podniósł ramiona wyciągając przed siebie urękawiczone dłonie. — Podbiegłem co tchu, ale chłopak opadł na poduszki i skonał. Zrozumiałem, że gestem tym chciał prosić mnie o pomoc.

— A może on te dłonie podniósł w ruchu obronnym? — Łukasz żuł słomkę, śledząc furkoczące wesoło na wietrze kolorowe wstążeczki brewiarza.

— Nie może być mowy — zawołał stanowczo proboszcz. — Słyszeliście zapewne tę historię w wersjach wrogów kościoła, którzy taką właśnie pogłoskę lansowali w parafii.

— Nie, dlaczego? — Łukasz jak dziecko wyciągał rękę do wstążeczek brewiarza — nie słyszeliśmy, ale tak

(Dokończenie na str. 4)

WALDEMAR BABINICZ

Ksiądz nie odpowiadał. Patrzył surowo na misternie ułożony beret, którego Łukasz nie zdjął z głowy. Drugi młodzian, Mateusz, nie nosił w ogóle nakrycia głowy.

Ksiądz czekał w milczeniu. Woznica nieznacznie wskazał batem na głowę. Łukasz niechętnie, ociągając się, sięgnął po beret i natychmiast przygładził ręką włosy.

— Nie wiem, czy koniom nie będzie za ciężko? — zwrócił się ksiądz do woznicy.

Młodzi ludzie nie czekali jednak na odpowiedź wahającego się chłopca i nieładnym wysiłkiem wyciągnąwszy nogi z błota wskoczyli żwawo na wóz.

— Ksiądz z wiatykiem? — zagaił z miejsca rozmowę Mateusz.

— Mówi się „wiatyk”, od łacińskiego słowa via, droga. Zaopatrzenie na drogę życia. Obowiązkiem kapłana jest zaopatrzyć konającego na drogę do lepszego, piękniejszego życia. Rozumiecie?

— Aha — mruknął Łukasz, sadowiąc się niewygodnie na worku z siewką.

— Kiedy byłem wikarym, ludzie na sam dźwięk dzwonka zwiastującego kapłana z wiatykiem — klękali.

— E, niemożliwe, chyba nie w Lutyni — młodzi ludzie spojrzeli bezplecznie na ciemną maź, w którą co rusz zapadały się koła.

— Klękali — powtórzył uparcie ksiądz. — Taki był obyczaj.

— Ale ich musiał chyba ksiądz namaszczać natychmiast olejami świętymi.

— Dawali sobie jakoś radę — wyjaśniał proboszcz. — Wypatrywali co suchsze miejsca i padali na kolana. Nic w tym dziwnego, nie przede mną klękali, lecz przed Panem Bogiem. Powinniście zresztą o tym wiedzieć z nauki religii.

— Nie, nie słyszeliśmy. My obaj nie chodziliśmy na religię.

— Aha — ksiądz zaszepił się. — To może ta rozmowa jest wam niemiła?

— Nie, dlaczego?

— Ale rodzice wasi to katolicy? — nastawał ksiądz.

— Dokładnie nie wiemy. Nigdyśmy z nimi na ten temat nie rozmawiali. Jakoś tak zeszło. Przy nas, to znaczy za naszej pamięci, do kościoła nie chodzili.

— Partyjni?

— Nie, Skądże? W ogóle nie należą do żadnej partii. Świeccy.

— Cóż to znaczy?

— No świeccy. Stoją na stanowisku świeckiego wychowania. Ksiądz nie słyszał? Jest nawet takie stowarzyszenie.

— Z początku obywateli z Lutyni. Trzeba mieć wzgląd na niedolę bliźnich.

Sto innych legend na zawołanie gotów jestem opowiedzieć o błocie lutyńskim, co, kiedy nie mogę, bo na niewielkiej wysepce, tuż przed chałupą Niedźwiadka, utytłani po kolana stoją dwaj młodzieńcy wypatrujący jakiejś szczęśliwej okazji, by przez błoto lutyńskie dotrzeć do sąsiedniej suchej, kamienistej Drawki.

Młodzi ludzie naradzają się smętnie. Starszy, osiemnastoletni blondyn o nieco skośnych oczach próbuje pocieszać o rok młodszego przyjaciela, szczupłego szatyna o dużych, czarnych, wilgotnych oczach.

— Zobaczysz, że ktoś nadjedzie. O, nawet słyszę turkot.

— Jaki tam turkot. Człapanie chyba — odpowiada beznadziejnie czarnooki, usiłując bez powodzenia wyciągnąć jedną nogę z gęstego rosołu.

— Jedzie ktoś. Ale kto?

— Wiem: ksiądz z Panem Bogiem. Rzeczywiście na zakręcie ukazała się para kasztanów, wóz drabiniasty, a na nim trzy postacie, z tych dwie w bieli.

— Nic z tego — wyszeptał blondyn o skośnych oczach. — Nie weźmie.

— Co znowu? Chrześcijański obowiązek nakazuje nieść pomoc w potrzebie bliźniemu.

— Ba, ale ksiądz jedzie służbowo. Nie ma obowiązku. Zresztą zdaje się, że nie ma prawa. Jedzie do konającego.

— Tym bardziej. Wiesz, Łukasz, zabawimy się w zgaduj-zgadule. Będziemy tak stać w miejscu bez słowa. Może ksiądz sam nam zaproponuje pomoc.

— Nie proponuje. Prędeż chłop.

— Chłop nie może, chłop jedzie w charakterze kierowcy.

— Zobaczymy.

Konie zrównały się z turystami i stanęły same. Woznica przyjrzał się ciekawie młodym ludziom i nieśpiesznie odwrócił głowę do duchownego.

Ksiądz miał na sobie ogromny kożuch, spod niezapiętego kołnierza widać było zwykle, ciemne futro. Na kolanach leżała baranica. Czarny, lśniący biret dopełniał stroju.

Na przednim siedzeniu tkwił nieruchomo chłop bez czapki, w lekkim miejskim paletku. Obok ministrant w białej kornei z dzwonkiem w zgrabiałych rękach.

— A dokąd to? — ksiądz wychylił głowę z obu kołnierzy.

— Do Drawki. Blisko, prawda?

Apostołowie

Pragnąc uwzględnić jak najszerzej — i jak najatrakcyjniej — problematykę upowszechnienia kultury, redakcja naszego pisma nawiązała kontakt z znanym publicystą, a zarazem czynnym działaczem kulturalno-oświatowym (rarisissima avis!), Waldemarem Babiniczem, wykładowcą Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy (woj. kieleckie). Niniejszy artykuł, pierwszy z nadesłanych nam przez W. Babinicza, traktuje szczególnie bliski Autorowi „Listów z parafii” — problem ścierania się postawy religijnej i laickiej. Po tej „pierwszej jaskółce” projektujemy cykl artykułów poświęconych różnym aspektom pracy oświatowo-kulturalnej w Polsce „powiatowej i gromadzkiej”.

LUTYNIA? Godzina drogi, najwyższej sześć kilometrów.

Bodaj pępek wyskoczył na języku lekkomyślnemu Informatorowi. Prawda, że od bitej szosy do Lutyni nie będzie więcej niż osiem kilometrów, prawda też, że do pierwszej chałupy jest nawet nieco mniej niż sześć, ale spróbujcie przejść tę drogę w miesiącu marcu. Wiem, wiem, powiecie oczywiście, że w powiecie pińczowskim są jeszcze gorsze błota i też daliśmy sobie jakoś radę. Wierzę. Ale do Lutyni nie dojdziecie.

Biada naiwnemu turyście, który zwiędziony niewinnym wyglądem lutyńskiego błota ośmielił się dotknąć polyskującej, ciemnoszarej powierzchni. Pierwsze kroki nawet nie szczególnego, najwyższe pograży się człowiek do kostek. Ale później... Błoto lutyńskie przylega do ubrania, obuwia i ciała ludzkiego jak intryga, jak plotka uknuta w sąsiednim miasteczku: ni od niej uciec, ni oczyścić się, ani zapobiec. Przynęta do człowieka, przyschnięta i chociaż tu i ówdzie zeskrobie się pacyne, ślady pozostają na długo.

Mieszkańców Lutyni rozpoznać można gołym okiem w najbardziej zwartym tłumie na jarmarkach, w mieście powiatowym, w poczekalniach przewodniczących rad narodowych wszystkich szczebli. Jeśli przewodniczący należy do ludzi humanitarnych, to otwierając szeroko drzwi gabinetu rozgląda się bystro po zatłoczonej poczekalni, szuka na bułach i spodniach klientów przyschniętych śladów błota i woia miękkiem, serdecznym głosem:

Rok	Ilość tytułów	Nakład	Obj. arkuszy wyd.	Wartość wyprod. książek
1957	4	19.000 egz.	27	258.000 zł
1958	7	32.000 egz.	136	745.000 zł
1959	16	107.000 egz.	260,8	2.744.500 zł

ARTYKUŁ na temat działalności Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej nie wymaga zupełnie wstępu, jego rolę z powodzeniem spełnić mogą cyfry. Przytoczone dane statystyczne świadczą najwyraźniej o tym, że w ciągu trzech lat swego istnienia LSW systematycznie piła się ku górze, zwiększając liczbę wydanych książek, ich nakład, objętość i wartość. Wzrost ilościowy nie cieszyłby jednak, gdyby nie szedł w parze z podnoszeniem jakości wydawnictw. A trzeba przyznać, że i w tej dziedzinie LSW ma do zaoferowania dużo sukcesów. W 1959 r. wydano bowiem trzy tytuły, których nie powstydziłoby się żadne wydawnictwo centralne. Oczywiście w grę wchodzi „Dziennik z lat okupacji” Zygmunta Klukowskiego, który doczekał się I nagrody na konkursie „Polityki”, II wydania na znacznie lepszym papierze (przy czym należy podkreślić wzbogacenie go o kilkadziesiąt zdjęć dokumentalnych) oraz rekordowej liczby 23 recenzji w prasie krajowej, a nawet zagranicznej. Nie ustępuje też „Dziennikowi” bardzo starannie opracowany, składany ręcznie antyką toruńską, ilustrowany przez wybitnego grafika — Jerzego Zarubę, tom wspomnień — „W stołecznym Lublinie”, pod redakcją Marii Bechczy-Rudnickiej, którego wartość dokumentalną i literacką z wielkim uznaniem podkreśliło już 9 recenzji. Niewątpliwie najwyższy poziom artystyczny i techniczny osiągnął „Album Malarski” Zenona Kononowicza. Pozycja ta wydana została z niezwykle piętym. Klisze wykonano w Łodzi, druk zaś powierzono Krakowowi, wprowadzając do „Albumu” osiem wielobarwnych plansz i 45 klisz jedno-kolorowych, a nawet dwa rodzaje barwnej obwoluty. Nic więc dziwnego, że zdecydowano się też na wydrukowanie 200 egzemplarzy bibliofilskich tej niezwykle cennej pozycji.

Na szczególne podkreślenie zasługuje ścisła współpraca LSW z KW PZPR, w wyniku czego powstała „Biblioteka Społeczno-Polityczna”, reprezentowana już przez 2 tytuły: J. Naumiuk — „Walka KPP o jednolity front klasy robotniczej i front ludowy na Lubelszczyźnie w latach 1934 — 1938” oraz M. Mitura — „Zarys rozwoju gospodarczego województwa lubelskiego w latach 1944 — 1959”. Trzeba tu podkreślić fakt, że następnych 7 tomów „Biblioteki” ukaże się jeszcze w bieżącym roku, a mianowicie:

J. Koprucki „Chłopi lubelscy w rewolucji 1905 roku”, J. Naumiuk „Z dziejów KPP na Lubelszczyźnie w latach kryzysu 1928 — 33 r.”, Stanisław Krzykała „Powstanie i rozwój KPP w województwie lubelskim w latach 1918 — 1928”, „Walki KPP w okresie względnej stabilizacji 1924 — 28”, „Z dziejów rad folwarcznych i chłopskich województwa lubelskiego”, Z. Pawluczek „Tradycje ruchu spółdzielczego w województwie lubelskim w okresie międzywojennym”.

Do poważnych osiągnięć LSW wypada też zaliczyć dwukrotną edycję „Rocznika Lubelskiego” i trzeci już tom „Kalendarza Lubelskiego”. Prze-



Trzy lata w służbie regionu

ROMAN ROSIAK

szłości Lubelszczyzny poświęcono szczególnie dużo prac. Poza wspomnianymi już tytułami wymienić należy: „Lubartów i Ziemię Lubartowską”, „Z przeszłości Ziemi Łukowskiej”, „Academia Zamoscensis”, „Lublin XV-lecie” oraz „Przewodnik po Lublinie”. Dział literatury pięknej trzeba jeszcze uzupełnić dwoma tytułami: „Akwarium” A. Markowej i „Wilkiem” T. Kosteckiego. Bieżący rok przyniósł już tom wspomnień K. A. Jaworskiego „Serca za drutem”, który spotkał się z bardzo przychylną oceną krytyki. W najbliższych tygodniach i miesiącach mamy prawo spodziewać się kilkunastu wartościowych edycji, wśród których znajdują się m. in.: I tom „Materiałów do historii ruchu oporu na Lubelszczyźnie”, oczekiwany z dużym zainteresowaniem pamiętnik A. Majewskiego „Wojna, ludzie i medycyna”, tom nowel S. Wolskiego „Ostroki”, „Listy Jana Hempla do Wandy Papiewskiej”, „Kartki z przeszłości powiatu lubelskiego” i wiele innych tytułów. Również w najbliższym czasie ukażą się pierwsze tomy z cyklu „Biblioteczki Poetów Lubelskich” i obszerny wybór wierszy K. A. Jaworskiego. Nie zabraknie też kolejnego tomu „Rocznika Lubelskiego” i „Kalendarza Lubelskiego”.

Plany LSW są bardzo ambitne. Wystarczy tylko przypomnieć, że powołany już został komitet redakcyjny dzieł Józefa Czechowicza, których tom I ukaże się w 1961 r. W roku 1964, a więc w 25 rocznicę śmierci poety, Lubelszczyzna otrzyma już zbiorowe wydanie jego dzieł w 5 tomach. Będzie to niewątpliwie najlepszy i najtrwalszy pom-

nik, jaki można postawić pieśnicy piękna Ziemi Lubelskiej.

W swej dotychczasowej działalności Spółdzielnia kładła szczególny nacisk na wydawanie pozycji, które służyłyby regionowi. Nie skończyło się tylko na drukowaniu prac, LSW przejęło bowiem rolę inicjatora badań nad prze-

szłością Lubelszczyzny. Zawarto szereg umów z autorami, którzy opracowują obecnie na specjalne zamówienie LSW szereg wartościowych pozycji. M. in. Konrad Bielski pisze pamiętnik z okresu XX-lecia, zaś Aleksander Bryk przygotowuje monografię orkiestry K. Namysłowskiego. W przygotowaniu też znajdują się tomy prac poświęcone przeszłości powiatów: chełmskiego, łukowskiego, parczewskiego i in.

Dbając głównie o zaspokojenie potrzeb kulturalnych Lubelszczyzny, LSW nie rezygnuje z edycji o szerszym zasięgu. Że jej się to udaje, świadczą sukcesy Klukowskiego czy Kononowicza na rynku krajowym. Realizując swój plan wydawniczy Spółdzielnia niewątpliwie wnieśli bardzo cenny wkład do obchodu Milenium, ratując od zapomnienia, upowszechniając piękne i postępowe tradycje naszego województwa. Dzięki „Bibliotece Poetów Lubelskich” otrzymali szansę debiutu regionalni poeci. Spółdzielnia stała się też również głównym instytutem wydawniczym dla naukowców lubelskich, którzy piszą prace poświęcone przeszłości naszej ziemi. Stąd też już dzisiaj znacznie LSW wybiega poza ramy normalnego wydawnictwa. Staje się ona coraz wyraźniej placówką koordynującą życie kulturalne i naukowe regionu. Z jej inicjatywy odbywają się spotkania z pisarzami i naukowcami oraz dyskusje, często z udziałem gości z innych miast. Wydaje się, że właśnie ta dziedzina powinna w najbliższym czasie osiągnąć jeszcze większy rozmach, dostarczając społeczeństwu wartościowych rozrywek kulturalnych, a zwłaszcza spotkań z naszymi twórcami kultury. Oczekujemy od Spółdzielni nawiązania kontaktu z odbiorcami, czytelnikami wydawanych przez nią książek. Mamy podstawę wierzyć, że polityczne i kulturalne znaczenie tej placówki będzie stale wzrastać, obejmując swym zasięgiem nie tylko nasze województwo, lecz z czasem cały wschodni obszar Polski.

W lipcu br. LSW przekazała do RSW „Prasa” założony przez siebie i wydawany przez 3 lata „Kurier Lubelski” — najpoczytniejsze pismo Lubelszczyzny. Spółdzielnia nie rezygnuje jednak z działalności prasowej, mając zamiar przejść w tym samym czasie wydawanie „Kamenu”, którą stałaby się tygodnikiem.

pełnił Mateusz. — Nasz Uniwersytet Ludowy nie jest bogaty. Pomagamy mu, jak rodzina swemu domowi. — Tak, tak — książd machinalnie przebieierał wstążeczki brewiarza. — No cóż — zakrzyknął nieoczekiwanie gniewnie do woźnicy — daleko jeszcze?

— E, nie. Będzie ze trzysta metrów. Prr. Zsiadają panowie, czy jak? Drawkę już widać.

— Zsiadamy, oczywiście. Dziękujemy bardzo: panu za gościnę, księdzu za miłą rozmowę.

Książd podniósł rękę do bireta: — Laudetur Jesus Christus.

Chłopcy skłonili głowy. Lukasz ruchem wielkomięskiego eleganta układał swój baskijski берет. Mateusz machał ręką w stronę oddalającej się furmanki.

NOTATNIK ESCHATOLOGA

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Religijni i świeccy eschatologowie z zamiłowaniem opisują i rozważają rzeczy ostateczne człowieka, zwłaszcza zaś śmierć i jej konsekwencje. Stefan Zarębski jest eschatologiem lirycznym i rozważa rzeczy ostateczne poety, od których zawisła jego artystyczna śmierć bądź życie. Refleksja nad sensem człowieczej egzystencji — nie tylko artystycznej — prawdą i fałszem, osąd autentycznego tragizmu i krytyka drażniącej naskórek życia radości — to problemy, którym żaden liryk traktujący swoją rzecz poetycką na serio ująć nie może. Zarębski wychodzi im na przeciw na każdej niemal kartce swojej książki. Jest ona — jak powiedziałem w tytule recenzji — notatnikiem eschatologa. Zarębski wystrzega się pedantycznie wierszowanych, a choćby tylko frazowanych traktatów i manifestów poetyckich, kielzna swoją fantazję w drobne, zwarte formy liryczne, nawiązujące zresztą delikatnie cieniowaną aurą emocjonalną do istotnie — nie historycznie i aktorsko — głębokich zamyśleń i tęsknot Młodej Polski. Serdeczny związek z tradycją poetycką i kulturową, sięgający antyku, jest przecież dla autora „Żywego i martwego” istotnym i cennym motywem inspiracyjnym; wskazuje na to nie tylko twórczość przekładowa, ale, przede wszystkim, takie wiersze jak „Postumus”, „Rozłączeni” i „Roków” — piękne, a zupełnie zarzucone przez poetyckich „młodych”, liryczne hołdy, składane cieniem wielkich twórców sztuki i kultury.

Związek z tradycją poetycką ukształtował również warsztat liryczny Stefana Zarębskiego. Autor „Żywego i martwego” lubuje się szczególnie w rytmie sylabicznym, w czterowierszu, w przejrzystości, racjonalnie konstruowanej metaforyce, choć zarazem nie obce mu jest „czwarte metrum”, nerwowo szarpana fraza, bardziej zawile, opierające się potocznym skojarzeniom, przenośnie. Tych ofiar składanych na ołtarzu nowoczesności jest jednak mniej i nie one decydują o lirycznej indywidualności Zarębskiego. Owa indywidualność spójnie dopasowuje się do innych twórców zrępowanych przez Bibliotekę Kamenu — wyznawców Horacjańskiego „złotego środka” między awangardą a tradycyjnym naturalizmem jako najbardziej właściwej metody artystycznej.

Mimo że osobiście odczuwam więcej zainteresowania dla eksperymentu w literaturze — trudno mi odmówić gestu szacunku wobec nietawnej, bo niemodnej, a przecież upartej i konsekwentnej postawy artystycznej Stefana Zarębskiego. Wyraża, odciska ona w materii poetyckiej wspomniane dyspozycje i zamiłowania eschatologiczne autora „Żywego i martwego”, ubiera je w skromny, ale trafny kostium literacki, pozbawiony efekciarskich błyskotek i świecidełek. W tym kostiumie właśnie zawiera się — by tak rzec — dydaktyczna wartość wielu utworów „Żywego i martwego”: potrafią one dyskretnie wprowadzić zwłaszcza mniej przygotowanego, otrząskanego z poezją czytelnika w trudny świat metafor i tropów lirycznych, od którego nie jeden artystowski eksperyment — nawet w rodzaju Białoszewskiego czy Harasymowicza — umie skutecznie odstraszyć. A wśród poetyckich rzeczy ostatecznych nie jest na pewno rzeczą ostatnią satysfakcja i wdzięczność dla liryka, którą czytelnik czuje po spojrzeniu na świat poprzez jego wiersz.

*) Stefan Zarębski: *Żywe i martwe*. Lublin 1960, Biblioteka Kamenu, s. 61, 3 ntb.

— Serwus, mały. Milej podróży, książę proboszczu.

Ostatnich słów proboszcz nie dosłyszał. Wóz zaturkotał po wyboistej drodze.

— Ty — zawołał ze zdziwieniem Lukasz — przed czym on zjął ten swój biret, przecież żadnej figury tu nie ma.

— Bo ja wiem? Może to przed nami? Chłopcy roześmiali się i weszli z fantazją do pierwszej chahupy.

Waldemar Babiniec

Apostołowie

(Dokończenie ze str. 3)

się domyślały. A może ten młody człowiek wcale nie ląkał pociechy religijnej, może nie chciał żadnego pojednania?

Proboszcz przymknął powieki i nie zmieniając wyrazu twarzy szeptał modlitwę po łacinie. Nagle powiedział dobitnie:

— Tak trzeba robić. Dobrze uczyniłem. Nie umiałem uchronić swojej owieczki od zgubnych wpływów i złych podszeptów, obowiązkiem więc moim było pojednać zbłąkanego z Bogiem w obliczu śmierci. Rozumiecie, Taki sobie cel w tych ostatnich latach wytknąłem. Nie jestem w stanie walczyć skutecznie o dusze wszystkich ludzi tu na ziemi. I dlatego wyleżam wszystkie siły, aby ich oddać Bogu skruszonych na łożu śmierci. Mateusz, który nie przestawał się bawić mierzaniem głębokości, oznajmił naraz tonem kapitana statku przybijającego do lądu:

— Siedemdziesiąt centymetrów. Głębia, można powiedzieć, względna. Zanurzony w niej człowiek w pozycji leżącej, utonie i ślad po nim zaginie. Niech książd popatrzy. Z wierzchu ta tafła blocka podobna jest do płynnej czekolady. Trzeba tylko, o stąd popatrzeć. Prawdą? A jak popatrzę patykiem to różne świństwa

wylażą. I czuje książd ten zapach? Stojąca woda w stawie, pełna odpadków, nieczystości, zbutwiałych roślin, zgniłych szmat: obrzydliwa, cuchnąca ciecz.

Książd wpatrywał się ze strachem w brudę, jaką zostawił ciągniony przez Lukasa patyk, a później wolno, nie odwracając głowy przerosł wzrok na buteleczki z olejami świętymi i westchnął głęboko z ulgą.

— Dziwni jesteście obaj — powiedział ochryplym głosem.

— Nie, dlaczego — powtórzył znowu po swojemu Lukasz.

— Krewni?

— Nie, dlaczego — znamy się dobrze od sześciu lat. Przyjaciele, ale nie kumple.

— Hm. Ale właściwie, co wy w tych okolicach robicie?

— Nic takiego — Mateusz wyciągnął nareszcie słomkę z ust i splunął.

— Wygłaszamy pogadanki, organizujemy zespoły przysposobienia rolniczego, kółka artystyczne, taneczne, chóralne, pomagamy w pracy reżyserkiej. W sumie mała rzecz.

— I przyjmują was wszędzie chętnie? Dają noclegi, pożywienie?

— Różnie bywa. Ale jak pobejdziemy dzień, dwa, to nabierają do nas zaufania, nawet później odwiedzają nas w naszym Uniwersytecie Ludowym, korespondują z nami.

— Placą wam za to, czy jak?

— Nie, dlaczego? Za co mieliby płacić? — zdziwił się Lukasz.

— I kto przede wszystkim? — uzu-

Do muz

Oto jesień znowu się zaczyna...
 pardon, wiosna!
 Stawiaj, muzo, p. t. Mnemozyna
 swoje krosna.

Przedzi refiry, bzy, księżyce śmiało
 oraz żywo
 uważając, by nie stało chałą
 się przedziwo.

Co by z chały? Tynfa ani piastra,
 jeden ryk.
 Gdy zaś wypiek zaeny—laur. Ad astra
 itur sic.

Lecz zostawmy psom i lupom
 astronomię.
 Wy zaś, dźwięczne asonanse, kupą
 do mnie!

Ramię dwustu niech uderzy gromów
 w strunę rymu.
 Muzo fiołka i konwalii, pomóż
 ty mu.

Frühling, frühling!
 W blask się stroi ziemia,
 w poszum.
 Szmerze strumyk.
 Spraw, by ujścia nie miał
 w koszu!

Na twą część soprany niechaj dzwonią,
 dudnią alty.
 Tobie, wiosno, kwiatek na ustroniu
 szpalty.

Kwiat niech wzrośnie jako dębu sploty,
 w słońce pcha się.
 Potem niech ma owoc duży, złoty
 w kasie.

EDWARD STACHURA

Pojedynek

Obęgi dziejecie się znowu
 pomiędzy uszami w tych muszlach
 a gdzie są talerze szerokie baseny
 one ciała moje jak ryba na talerz
 obęgi pozwólcie mi trochę wakacji

pozwołcie czulości mnie też się należy
 obłoki że powiem chociażby
 obłoki to zaprzęg jest psów
 który sanie ciągnący za włosy
 ale miękko dość bardzo i wdzięcznie

Obęgi — obłoki
 dziękuję za trochę wakacji

* * *

Ja tobie poselstwa wysyłać pęki
 pokłonów
 ale widzę lepiej sam pójdę
 bo to wszystko puch jest pył
 więc lepiej sam pójdę widzę

ja znowu nie taki cień jestem
 choć niedościgniony wiem zanadto

choć z błota okwiat mój kolebka
 a jakże dziecie słońca lęgnąca

To widzę lepiej samemu się tobie
 wysyłać

a nie poselstwa pęki pokłonów
 a pęki kości molch błotnych
 po których rozejdziesz się promienisto

N o c

Ty się pochyl róża — bóg
 ty się do mnie pochyl
 i na ucho jak kolczyk róża — bóg

Moje ucho ma dzban
 z niego pić tylko tobie nikomu
 a twój kolczyk jak ucho na dzban

O modlitwę mnie wabisz o wabisz
 że błysk noża
 w najpiękniejsze serce kozy

Z tobą czystość zachować to gorzej
 każdy lew by się spalił już dawno
 las popiołu z jego grzywy nic więcej

Ty się pochyl róża — bóg
 ty się do mnie pochyl we mnie
 wytryśnięmy jak słońce wytryśnię

PRZY Plaża Italia jezdnia jest tak
 szczerze wypełniona autami, że
 wszelka jazda staje się niemoż-
 liwa. Tłumy ludzi. Trudno zorientować
 się, co tu się dzieje. Czyżby ładna,
 prawdziwie majowa niedziela wywa-
 biła wszystkich na ulice do pobliskie-
 go ZOO, czy może na Exposition Agra-
 ria, dokąd i my właśnie zdążamy.
 Krok za krokiem, a raczej koło za
 kołem posuwamy się w rzędzie wo-
 zów, rozglądając się wokół ze zdu-
 mieniem. Nagle przypomnia mi się,
 że to właśnie dziś na Palermo ma
 przemawiać minister Izraela dla
 uczczenia 11 rocznicy powstania pań-
 stwa. Więc tak — te wszystkie wozy,
 te tłumy przybyły tutaj, aby usłyszeć
 madame Golda Meir.

Z trudem udaje nam się wymane-
 wrować z gęszcza pojazdów i zaparko-
 wać na bocznej ulicy. Przed Wystawą
 Rolniczą parę długich ogonków do kas,
 a wewnątrz wzdłuż pawilonów słoń
 cierpliwie szeroki, potężny ogon koń-
 czący się gdzieś hen za halami, przy
 nikłych drzewkach zasadzonych na
 glinie. Okazuje się, że ci cierpliwi lu-
 dzie pragną zobaczyć orchidee. Ja
 również pragnę zobaczyć orchidee, o
 których opowiadają cuda, ale perspek-
 tywa spędzenia w ogonku paru godzin
 szybko mnie leczy z pragnienia. Trud-
 no. Wybieramy parę pustych pawilo-
 nów reprezentujących rolnictwo Ar-
 gentyny, Szwecji i Holandii, i od razu
 wiemy, czemu są puste: nie ma tu cie-
 kawych spraw. Kilka maszyn, parę
 worków nasion, holenderskie, zwiedle
 już tulipany, wykresy, fotografie, por-
 treti.

My przyszlismy właściwie tutaj tyl-
 ko dla polskiego stoiska, które otrzy-
 mało trzecią nagrodę. Mieści się ono
 w wielkiej hali tuż obok prześlicznego
 barwnego stoiska Węgrów. Wiele zna-
 jomych twarzy i zaraz poprzez tłum,
 oblegający szklane kasety, zapraszają
 nas do środka. A w szklanych kasetach
 i na stolikach istne cuda i dziwy: na-
 szyjniki, kolce, kolczyki, bransoletki —
 cała biżuteria z... argentyńskiej flory —
 owoców i nasion. Naszyjniki z grochu,
 żołędzi, podługnych kasztanów, migda-
 łów, oliwek, nasion o kształtach prze-
 dziwnych, broszki z twardych liści,
 lampy z drewna i szyszek — coś bar-
 dzo oryginalnego, pełnego wdzięku,
 wręcz żywej poezji. Całość stoiska nie
 jest tak piękna, jak np. węgierskie,
 lecz sądzę, że nagrodę dano tu pewnie
 za te urocze pomysły.

Zdaje się, że sam pomysł wykorzy-
 stania grochu czy ogórkowych pestek
 do takiego zdobnictwa przywędrował z
 Polski, a sprytni emigranci rozszerzyli
 je tylko na egzotyczne rośliny argen-
 tyńskie. Tak przynajmniej twierdzi
 pani przybyła tu z Polski przed pół
 rokiem. Powiada, że widziała w War-
 szawie taki naszyjnik. Ale okazuje się
 znów, że był on właśnie stąd. Trudno
 dociec tej prawdy lub może poszukaj-
 my jej u małych dziewczątek, które
 z koralu jarzębiny tworzą sobie ozdoby
 na szyję. Sama robiłam kiedyś takie
 bransoletki, a także kolczyki z dwu
 ciemnych wiśni. I bardzo byłam wtedy
 szczęśliwa.

Kolce, broszki i kolczyki są tu ładnie
 wykonane i zdobne w złoczone
 oprawki, tak że całość na pierwszy
 rzut oka sprawia wrażenie bogatej bi-
 żuterii. Dopiero po bliższym przyjrze-
 niu się można odkryć w wisiorach i
 paciorkach drobną białą fasolkę czy
 brązowy podługny owoc jakiejś od-
 miany platanu. Kupuję taki jeden
 brązowy naszyjnik i, sądząc po cenie,
 nabieram przekonania, że sprytny pro-
 ducent może w krótkim czasie zbić
 grubszą pieniądże. Chociaż — kto wie?
 Ta rolnicza biżuteria ma pewne nie-
 bezpieczeństwo: jakiegoś wilgotnego
 dnia może okazać się, że naszyjnik z
 grochu puszcza pędy, kasztan pęka, a
 migdały zachęcają do zjedzenia! Zwia-
 szcza teraz, gdy taki kryzys tutaj
 panuje.

Wśród tych n'eco złośliwych żartów
 opuszczamy stoisko i widzimy, że za-
 padł już zmierzch, noc prawie. Cier-
 pliwcy ogonek do orchidei trwa nieru-
 chomym ciemnym węzłem. Niedługo
 zamykają ten rajski ogród i nie cier-
 pliwcy nie zobaczą. Przez szklane ta-
 fle migocą tajemnicze, barwne, rozchy-
 lone kwiaty. Małe kaktusiki i duże
 kaktusy przypatrują się ludziom przez
 szyby. Gdzieś zamigotał srebrny
 świerk. Jest siódma i wejście na wy-
 stawę zamknięte. Ludzie odchodzą od
 kas, fale rozlewają się po Plaża Italia,
 łączą się z wypływającymi z ZOO, a
 w mroku unosi się mętna, gęsta wrza-
 wa.

Jedziemy do pobliskiego Domu Pol-
 skiego, gdzie pewnie jest jakiś Podwie-
 czorek Muzyczny. Dawno tu nie by-
 lam. Przeżyłam bowiem ostatnio ru-
 dzaj „rodakowstrętu”, który nie jest
 niczym innym, jak tylko setną od-
 mianą zmożenia emigracją. Wprost
 boję się stykać z tymi samymi twa-

MAJOWA
 NIEDZIELA
 JESIENI

JOZEFA RADZYMIŃSKA

rzami, problemami, z tą zastaną ciem-
 ną wodą, mętną i pełną szlamu. Z łę-
 kiem tedy schodzę do restauracji. Jest
 przepelniona, niemal wszystkie stoliki
 zajęte, na skrawku przy pianinie jakaś
 malutka dziewczuszka w barwnym stro-
 ju tańczy kujawiaka. Migają jej grube
 jasne warkoczki. Przez chwilę zadziwia
 mnie: któż dziś wyhodował tutaj takie
 włosy?

Nie patrzę na salę, jakbym obawiała
 się pytań, ukłonów, ale to nieuniknio-
 ne, więc kiwam głową to tu, to tam
 mechanicznie, a w sercu mam zimny
 chłód. „Po co właściwie przyszlismy
 tu?” — chcę zapytać Adama, ale widać
 jego uśmiechniętą twarz i zaraz myślę,
 że to pewnie tylko ja jestem taka dzi-
 lka, taka chora, taka nieszczęśliwa w
 tym bagnisku.

Dziewczynka z warkoczami odeszła
 wśród braw i zastąpiła ją zaraz ciem-
 na panienka w czerwonej sukni i sre-
 brnych baletkach. Tańczyła wdzięcz-
 nie, ale... przecież znałam na pamięć
 każdy jej ruch. Od lat tak tańczy na
 wszystkich akademiach, popisach, re-
 wiałach. Odwróciłam głowę. I natknęłam
 się zaraz na ukłon pana, który zrobił
 wyraźnie parę kroków w stronę nasze-
 go stolika. Już się witał. Już narzekał,
 że nigdy się nie pokazuję, nie bywam,
 itd., itd. I mówił tak, mówił bez wy-
 technienia. Widział było, że absolutnie
 nie czeka na żadne odpowiedzi, tylko
 chce błysnąć dowcipem i opowiedzieć
 swoje sprawy. Potem przyszedł jesz-
 cze jeden pan i zachowywał się podob-
 nie. Dodawał jeszcze o zebraniu Kom-
 batantów, kłótniach, intrygach, Spra-
 wie. Adam wybałił mnie z tych głą-
 dzień, prosząc do tańca.

Ktoś grał tango, stare, dobre tango:
 „Portowe światła”. Przypomniało mi

się, że właśnie to tango lubiałam śpie-
 wać zawsze z moją Siostrą na dwa
 głosy, i już byłam bliska strasznego ża-
 lu, gdy na szczęście potrącił nas jakiś
 rozszalały młodzian, który owe tango
 tańczył w rytmie rokendrola. I zaraz
 zauważyłam, że było tu pełno rozsza-
 lonych młodzianów i dziewczątek, któ-
 re nagle powyrastały z dzieci, że wszy-
 stko to było nieznajome i nowe, jak ja-
 snozielona gałązka przedzierająca się
 przez zmuszający pień starego emigran-
 ctwa. Zielone gałązki rozmawiały po
 hiszpańsku i niewiele robiły sobie z
 pnia. Mówiły też po polsku, oczywiście,
 ale jakby od święta, czy może po
 prostu ciszej i jakoś wstydliwie?

Więc z tym starym pnem i owymi
 gałązkami bardzo dziwnie tu było w re-
 stauracji Domu Polskiego. Jedyne co
 pozostawało, to nie patrzeć wkóło, a za-
 jąć się sobą. Tańczyliśmy uśmiechając
 się szklanym uśmiechem do ludzi bar-
 dzo znajomych, ale straszliwie w tej
 chwili obcych, choć tyle nas z nimi łą-
 czyło.

Przed północą opuściliśmy ten park
 polszczyzny, pełen zmuszających pni i
 odskakujących od nich gałązek. Koń-
 czyła się majowa niedziela. Wieczór
 był zimny i nagie gałęzie drzew przy-
 pominały, że przecież jest tu jesień, a
 nie żaden maj. I nowa ogarnęła mnie
 rzeczywistość, a skończyła się złuda.
 Te złudy zresztą męczą mnie i prze-
 piatają się dość często. Nawet już do-
 jeżdżając do domu ulęc musiałam złu-
 dzie: na sąsiednim dachu zobaczyłam
 białoczerwone sztandary. Myślałam:
 jestem w Polsce. Ale to przecież był
 tylko dach Towarzystwa Polskiego w
 Dock Sud, a sztandary wywieziono tu
 wespół z argentyńskimi z okazji przy-
 padającego jutro święta „25 de mayo”
 — rocznicy niepodległości Argentyny.
 Patrzyłam, jak sztandary — białoczer-
 wony i biało-niebieski — chwiała się na
 tle nocy i myślałam, że jestem bardzo
 zablakana i bardzo nieszczęśliwa. Ze
 ta moja dotychczasowa praca wśród
 starych pni i zielonych gałązek — jest
 odwieczną pracą Syzyfa. Pomyślałam
 też — już na pociechę — że wszystkie
 słowa, jakie napisałam czy wypowie-
 działam, miały jedyny cel, aby te stare
 pnie i zielone gałązki nie utraciły za
 szybko więzi łączącej ich z daleką Oj-
 czyzną. Więc może warto podejmować
 niewdzięczną, odwieczną pracę Syzyfa?

WIELKI MOJE

O małych urwisach
 i wielkim pisarzu

Kiedy niedawno z przyjemnością
 czytałem „Dziurę w niebie” Konwic-
 kiego, już klimat pierwszego rozdzia-
 łu tej powieści, charakterystyczny dia-
 log chłopców — skojarzył mi się z
 czymś dawno znanym i bardzo blis-
 kim. Podobnie rozmawiali przyjaciele
 mojego dzieciństwa z książek, do któ-
 rych nieraz i w wieku dojrzałości
 chętnie wracałem.

Pamiętam — miałem chyba dziewięć
 lat, kiedy ojciec podsunął mi do lek-
 tury niepozorną i jak się obawiałem
 nudną, bo pozbawioną ilustracji, książ-
 kę, jedną z wielu w podobnej opraw-
 wie, które stały rzędem w jego szafie
 a stanowiły wydawnictwo Biblioteki
 Dzieł Wyborowych. Przeczytałem kil-
 ka pierwszych stron i już bezpo-
 wrotnie stowarzyszyłem się z niesfor-
 nym a sympatycznym łobuziakiem,
 musztrowanym przez dwie siostry —
 wdowę i starą pannę — na próżno
 usiłujące upoić w niego dobre ma-
 niery. Perypetie Hucka z ojcem-pija-
 kiem, ucieczka przed nim na wyspę,
 podróż tratwą po Missisipi wraz z
 tajemniczym Królem i Księciem, któ-
 rzy okazali się oszustami, wreszcie
 (szuka dla sztuki) wykradanie z dru-
 gim sympatycznym urwisem wyzwolo-
 nego Murzyna, — wszystko to było
 tak pasjonujące, że nie mogłem się
 od książki oderwać.

A wkrótce potem zawarłem jeszcze
 bliższą znajomość z tym drugim łobu-
 zem dzięki książce poświęconej jego
 przygodom. Tomek zaimponował mi
 swoją pomyslowością i odwagą, która
 uczyniła go posiadaczem skarbu, ale
 bardziej jeszcze wyznaniem miłosnym
 i pocalunkiem wyciśniętym na ustach
 dziewczynki Betsy. Tak więc „Przy-
 gody Tomka Sawyera” stały się rów-
 nież mym pierwszym romansem, który
 czytałem z wypiekami na twarzy.

W parę lat później poznałem i inne
 utwory Samuela Clemensa, kryjącego
 się w literaturze pod nazwiskiem
 Marka Twaina — „Księcia i żebraka”,
 „Joannę d'Arc”, „Jankesów na dwor-
 zie króla Artura” i liczne humoreski.

Przeczytałem również ostatnią część
 trylogii o przygodach Tomka i Hucka,
 o której istnieniu nasze wydawnictwa
 nawet nie wiedzą. Jest to dłuższe
 opowiadanie „Tom Sawyer w roli de-
 tektywa”, którego przetłóczenie na język
 polski powiększyłoby liczbę naszych
 „kryminalów” o pozycję przedniej ja-
 kości.

We wszystkich tych utworach Mark
 Twain nie tylko błyskał niezrówna-
 nym humorem, ale i przejawiał głę-
 boki humanizm broniący tych, co są
 słabi, krzywdzeni i prześladowani.

Nie wiem, jakie odbicie znajdzie
 na naszym rynku wydawniczym 50-
 lecie śmierci świetnego pisarza ame-
 rykańskiego i jego rok, ogłoszony
 przez Światową Radę Pokoju i Unesco.
 Prawdopodobnie ukaże się wznowie-
 nie jego najlepszych i najpopularniej-
 szych powieści: „Przygód Tomka Sa-
 wyera”, „Przygód Hucka” i „Księcia
 i żebraka”. Zapewne pojawi się bar-
 dziej wyczerpujący wybór jego hu-
 moresek. Ale autobiograficzne „Co się
 przeżyło” („Roughing it”), „Życie na
 Missisipi”, „Joanna d'Arc”, powieść
 historyczna, odsłaniająca nam autora
 z zupełnie nieznanego strony, „Wilson
 Kapuściana Głowa”, „Podróż naokoło
 świata”, pełen zjadliwej ironii „Po-
 złacany wiek” i inne utwory Marka
 Twaina chyba nie doczekają się prze-
 kładów. Tylko jeżeli nasze wydawnic-
 twa nie pomyślały o tym teraz, to
 do następnej rocznicowej okazji wy-
 padnie nam jeszcze czekać ćwierć lub
 pół wieku.

Jednakże powinien się chyba uka-
 zać wybór pamfletów, w których au-
 tor „Przygód Hucka” walczył z im-
 perializmem i plutokracją amerykań-
 ską, potępiał prezydenta Teodora
 Roosevelta, zwolennika aneksji Ha-
 wajów i zagarnięcia Filipin, i z obu-
 rzaniem występował w obronie pow-
 stańców filipińskich i ich przywód-
 cy Aguinalda. Wtedy znajomość kla-
 syka amerykańskiego wśród czyteln-
 ików polskich stanie się bardziej wie-
 lostronna.

